

# Stanisław Mikke

---

## Clintonowskie doświadczenie

---

Palestra 42/11-12(491-492), 111-113

---

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



---

STANISŁAW MIKKE

## Clintonowskie doświadczenie

Jeden z francuskich szefów służb specjalnych we wspomnieniowej książce pisał o wrednej, jak sam przyznawał, zabawie, jaką sobie urządzał. Najczęściej było to podczas bankietów czy też innych, mniej lub bardziej oficjalnych spotkań. Otóż wymieniając gesty powitania i uśmiechy z tym lub owym piastującym wysokie stanowisko, wskazującym palcem wykonywał dyskretne ruchy. Uśmiechał się, zatem tak pół żartem, pół serio groził. Ale to już wystarczyło. Upatrzone do tej rozrywki, na nudnych spotkaniach, ofiary natychmiast reagowały przerażeniem. Jedni bledli, innym zaczynały się trząść ręce. Rzecz jasna w większości wypadków pierwszy policjant w państwie nie wiedział, co było powodem ich trwogi. Ale każdy, z którym sobie tak niecznie poczynał, wpadał w popłoch. Aż wreszcie na jakimś przy-

jęciu szef tajnych służb pogroził bliżej sobie nieznanemu politykowi. Ten, nie speszony, podszedł do niego i wprost zapytał: – No? Co takiego? O co chodzi?

Cóż, konkludował autor wspomnień, ten człowiek (później został jego przyjacielem i ministrem) miał po prostu czyste sumienie.

Kto po przeczytaniu tej historyjki nie zada pytania: ilu to polityków u nas i gdzie indziej zareagowałyby ze spokojem ducha na tego rodzaju żart kogoś z tajnych służb. A gdyby tak nie ograniczać się do polityków...? Wracamy, proszę państwa, do źródeł. Kto jest bez winy, niech pierwszy...

Niektórym jednak to nie przeszkadza. Przewodniczący komisji sprawiedliwości, który wraz ze swymi republikańskimi kolegami gorliwie głosował za ujawnieniem zeznań osób trywialnego dramatu

w Białym Domu, też, jak się okazało, cudzołożył. Co prawda trzydzieści lat temu, ale... Są tacy, którzy poddają w wątpliwość, czy rzeczywiście taki grzech z nadejściem starości się przedawnia, jak to usiłował obrócić w żart kłopotliwe przypomnienie sam zainteresowany.

Kryzys na tle erotycznym w Stanach Zjednoczonych zdominował wszelkie doniesienia, także o wielkim i jakże niebezpiecznym kryzysie rosyjskim. Jest czymś wręcz niesłychanym, ale przecież symptomatycznym dla czasu dzisiejszego, że dla najpoważniejszych, jakby się mogło wydawać, mediów istotniejsza była taśma z przesłuchania prezydenta, podczas którego wyjaśniał naturę związku ze stażystką, niż jego przemówienie w siedzibie ONZ na temat zwalczania międzynarodowego terroryzmu i to w chwili, gdy fanatyczni islamiści toczą terrorystyczną wojnę z Zachodem, zwłaszcza ze Stanami Zjednoczonymi, w której giną Amerykanie.

I w naszych środkach masowego przekazu trwał permanentny stan podwyższonej gotowości. Jak niesie wieść gminna (Warszawa w końcu gmina), redaktor naczelny „Rzeczpospolitej” wręcz przeczołgał odpowiedzialnych redaktorów z działu zagranicznego za to, iż w poniedziałkowym wydaniu z 14 września br. nie zostały opublikowane zarzuty niezależnego i jak piszą zachodnie gazety, lubieżnego prokuratora Kennetha Starra. Padł błąd strach w szacownym dzienniku, zapachniało dymisjami, zwolnieniami i Bóg wie raczy wiedzieć czym jeszcze, bo naczelny stwierdził, że musi się ułożyć sam z sobą wobec tak strasznego zaniedbania i dopiero po tym ułożeniu się, samego z sobą, miał podjąć decyzję.

W innych redakcjach zarządzono pełną mobilizację najlepszych anglistów, by na bieżąco śledzić błazenadę wartą 40 milionów dolarów. Czy sięgano po pomoc przy tłumaczeniach ponoć najbieglejszego z Polaków w amerykańskim języku miłosnym, pisarza Janusza Głowackiego, tego jeszcze nie wiemy. Jeszcze... Bowiem wszystko na sprzedaż, wszystko może, a jednak niektórzy chcą, winno być ujawnione i upublicznione. Do ostatniego grama prawdy, żeby już nie sięgać po miary właściwe dla materii innych stanów.

Wszystko to, co dzieje się wokół zaszcutego i wystawionego na pośmiewisko całego świata Williama Clintona, jest żenujące z jednej strony, a z drugiej po prostu odrażające. Dosadne określenie kanclerza Helmuta Kohla o odruchach wymiotnych, dobrze oddaje, czym jest w rzeczywistości wywlekanie przed setkami milionów szczegółów fizycznych zbliżeń głowy państwa. Ale nie to najważniejsze. Partyjna walka konserwatystów z demokratami nie ma już naprawdę wiele wspólnego z demokracją. Czesław Bielecki w felietonie w tygodniku „Wprost” zauważył, że ta korona swobód przekształciła się w nic innego tylko w pornokrację. Gdzieś, w bezpardonowej kampanii, nie liczącej się z niczym, z żadnym ogólniejszym interesem zatracono istotę i wartość wolności. „Naród, który cały rok rozszarpuje się na strzępy – napisał w tygodniku *Newsweek* redaktor naczelny jego międzynarodowego wydania Michael Elliott – z powodu tak tandetnej afery, jest narodem, którego życie polityczne chyli się ku upadkowi”. „System jest chory” – konkluduje ten dziennikarz. Czyż ta diagnoza nie odnosi się także do pra-

wnego systemu, który umożliwia tego rodzaju kompromitującą imprezę? Gdyby ta historia dotyczyła Księstwa Monaco – pisał ktoś inny – wywoływałaby rozrabianie. W wypadku jedynego światowego mocarstwa śmiech zamiera na ustach.

Cokolwiek by jednak powiedzieć o całej aferze, w ten czy inny sposób komentować lub uzasadniać bądź negować celowość podania do najszerszej publiczności za pośrednictwem Internetu i telewizji każdego szczegółu skandalu i zastanawiać się nad kwalifikacjami tego prezydenta (nie tylko zresztą moralnymi, bo patologiczny, rzecz można, brak wyobraźni i zdolności przewidywania Clintona jest tu samą w sobie wartością ze znakiem ujemnym) do kierowania supermocarstwem, a więc jakiegokolwiek analizie, by nie poddawać zdarzeń

z ostatnich miesięcy, jedno jest pewne: mamy do czynienia z szokiem kulturowym w skali globalnej. I chyba nie będzie przesadą twierdzenie, że całe to clintonowskie doświadczenie już zaważyło, jak żadne inne wydarzenie, na kulturze życia publicznego. To zaś nie pozostanie bez głębokiego wpływu na inne płaszczyzny życia społecznego.

Dziś nic nie wskazuje na to, iż nastąpi jakieś otrzeźwienie i że w ramach pełnej demokracji dojdzie do rozumnego samoo graniczenia. Najprawdopodobniej w dającej się przewidzieć przyszłości każdy, kto używać będzie słowa przyzwyczajenia, będzie natychmiast nagabywany o definicję tego pojęcia. Niejeden zaś wkrótce odczuwać będzie ostrzej, niż to zazwyczaj bywa, „znoszenie prądem historii, pośród gruzów świata skończonego, za którym została tylko tęsknota za nim”.